

Dawno w życiu nie był Kulebiaka tak dobrym i uprzejmym dla swej żony i dzieci jak dzisiaj. Dawno już nie był tak uśmiechniętym i zadowolonym wobec znajomych, sąsiadów.

Nawet do karczmy dziś go nie ciągnie. Nie miota przekleństwami, nie mówi słów karczemnych. Widzą to dzieci. Zmienił się zupełnie dzisiaj ich ojciec!

Atoli zbliża się wieczór. Kulebiaka trochę niespokojny odzywa się do żony i dzieci:

— Na chwilę skoczę do karczmy. Mam pewną sprawę do omówienia ze znajomymi. Zaraz wrócę. — A w duszy pomyślał: O, gdybym ja już tam wreszcie się znalazł, gdybym tam był! Ale czuje się on jakoś niepewnie, coś go niepokoi.

— Jakto teraz — kiedy już wszystkiego dokonał — kiedy ma w kieszeni chleb biały! — skarcił siebie, dodając odwagi. — Dzieci ota czają ojca radośnie. Czepiają się jego rąk. Ufnie patrzy żona w jego oczy, które już tak dawno dobrem nie darzyły jej spojrzeniem. Dawno już i on nie przeżywał tak wzruszającej chwili. Coś dzieje się w jego wnętrzu. Jakoś mu tak ciężko na sercu. Przygarnął do siebie swoją żonę. Pocałował ją w milczeniu. Od tyłu już lat nie okazywał jej takiej czułości.

Ach! gdyby dzisiaj nie musiał wychodzić ani na chwilę z domu! Wtem zegar ścienny wybił godzinę ósmą!...

Chwileczkę drobną zatrzymał się przed domem. Rychło już mieć będzie swój własny, zasobny i bogaty. Wkrótce... Wieczór był siarczysty. Śnieżyca hulać zaczęła na dobre. Oczy śniegiem zasypywało. Z trudnością wielką brnął Kulebiaka ku karczmie. Tak mu się wydawało daleko dziś do niej. A

ta wichura nieznosna, jakże złowieszco wiatr zawodzi.

— Bóg nie opuszcza swoich! — posłyszał wyraźnie idący. Zamyślił się. Kto to mógł powiedzieć?

Z wysiłkiem brnie dalej. Przekleństwo nie schodzi mu z ust. Dech mu zapiera w piersi. Jakto teraz cofnąć się, wrócić? Nie, tu o powrocie — teraz mowy być nie może!... Gdy wszedł do karczmy, nagle zrobiło się cicho, tak strasznie cicho... Człowiek z miasta przybyły przerwał ożywioną rozmowę z siedzącymi przy stole. Coś im przed chwilą wyjaśniał. Jeszcze trzyma rękę wzniesioną do góry. Usta ma wpół otwarte.

Wszystkich spojrzenia zwróciły się na przybyłego. Ten stanął teraz nawprost nich. Bezbożnik miejski, zwracając się do obecnych, w te odezwał się słowa:

— Gdyby ten maleńki kawałek białego opłatka rzeczywiście był Bogiem, to nie mógłby dopuścić, aby ten człowiek... No, Kulebiaka, rozwiń swą chustkę i pokaż nam białą hostję. Wszyscy obecni tłoczą się do przybyłego. Obskakują go i jego przyjaciele: Dulemba, Bernauer i Piskorz.

— Prędzej, prędzej — krzyczy herszt bezbożników. Ciekawość ogólna wzrasta. Niektórzy z obecnych wskazują na ławki, by lepiej widzieć. Co też on przyniósł?

Kulebiaka ostrożnie wyciąga chustkę z kieszeni, kładzie na stole, rozwija powoli jeden róg, drugi, trzeci — czwarty. — Wyglądził ją dłońmi — patrzą — niema nic wewnątrz.

Zbladł i zmieszał się Kulebiaka. Oniemiał poprostu i osłupiał. Jest przerażony. Patrzy znieruchomiałym wzrokiem przed siebie. Nie miota przekleństw. Nie odzywa się ani słowa. Kładzie rękę do kieszeni jednej i drugiej, wywraca je. Szuka znowu. Patrzy w dół,